

PROLOG

WTEDY: STYCZEŃ

Było ich pięciu. Adam od razu wiedział, że nie ma najmniejszych szans. Rozglądał się jeszcze na boki, w nadziei, że może ktoś stamtąd wyskoczy, nauczyciel, woźny, albo choćby i przypadkowy przechodzień, jak on idący na skróty. Ale szkołę dawno zamknięto, a ludzie siedzieli w domu, w taką pogodę. Dawno zapadł zmrok i temperatura spadła o dodatkowe kilka stopni, w powietrzu wirowały wielkie płatki śniegu, oświetlane przez światło samotnej latarni. Wyglądały, jakby tańczyły.

A przecież wyszedł tylko po bułki. Po prostu miał pecha. Mógł nie iść tamtą drogą, tylko naokoło, ale było mu zimno i spieszył się, chciał szybciej zasiąść do nauki. Zapomniał, że oni zawsze tu są, że wieczorami przesiadują pod daszkiem, piją i palą, nic sobie nie robiąc z tego, że są na terenie szkoły. Już z daleka usłyszał głosy i zobaczył żarzące się w ciemności końcówki papierosów. Może wtedy jeszcze mógł zawrócić. Ale pomyślał, że może go nie zauważą, że przemknie bezszelestnie jak kot. Nie przewidział, że oni się nudzą, że tylko czekają, aż pojawi się ktoś lub coś, jakaś okazja do tego, żeby coś się wydarzyło. I już byli przy nim, okrążyli go, jak dzicy, jak wrogie plemię.

– Ty, jaki ma kurwa szaliczek, Bambi, mama ci pożyczyła, czy ta suka twoja siostra?

– Szminkę też ci pożycza?

Kris, kolega z klasy. Kiedyś się nawet lubili. W tych zamierzchłych czasach, kiedy jeszcze miał przyjaciół. Kris popchnął go mocno, potem drugi raz, ale Adam jakimś cudem utrzymał się na nogach. Próbował go odepchnąć, ale Kris się tylko roześmiał, i już byli przy nim pozostali, a on po chwili leżał na ziemi, czując zimne płatki śniegu na policzkach.

Pierwszy kopnął go Franc. Frankowski. Koszykarz z równoległej klasy, wyższy od niego o głowę. Ciężki but z protektorem uderzał w brzuch, który Adam nieudolnie próbował zasłaniać. Wtedy drugi but powędrował w stronę głowy.

Mieszko kolanami przycisnął jego ręce do ziemi. Mieszko. Też był z nim w paczce. Kiedyś.

– Zabijcie pedała! – krzyknął.

I już kopali go wszyscy. Kris, Franc, Mieszko i jeszcze tych dwóch, których nie znał i ich imion nie kojarzył.

– Ty, daj butelkę! – wrzasnął nagle Franc. – Przewróć go – rozkazał Mieszkowi. Ten przez chwilę się zawahał. Adam próbował spojrzeć mu w oczy, ale zobaczył, że tamten odwraca wzrok. I poczuł, że jego ciało przeturlało się na brzuch, że w żaden sposób nie potrafi spiąć się i jakoś temu przeciwstawić. Jak kukiełka z lalkowego teatrzyku – pomyślał jeszcze i stanęły mu przed oczami zabawne pacynki, którymi tak lubił bawić się w dzieciństwie. *Ty będziesz księciem, a ja księżniczką* – powiedziała siostra. *Albo ty będziesz księżniczką, wolisz być księżniczką?*

– Nie no, weź, wystarczy wpierdol – powiedział Mieszko i wyrzucił butelkę w krzaki.

Adam poczuł taką wdzięczność, że myślał, że się rozpłacze. Na chwilę.

Potem tam był, ale jakby go nie było. Istniał poza swoim ciałem, kopanym i bitym. Stał się jednym wielkim bólem, ale nie rozróżniał jego źródeł, wszystko zlewało się w jedno. Wytrzymywał ten ból jak coś, co minie, przyglądał mu się z boku. Chciało mu się siku i ze wszystkich sił powstrzymywał parcie na pęcherz. W końcu nie wytrzymał i poczuł, jak ciepły mocz przesiąka przez spodnie.

– Ty, zsikał się, Franc, kurwa, pedał się zsikał!

– Może go już zostaw – przełknął ślinę Mieszko. – Weź, bo wykituje.

– I dobrze, kurwa.

– Ja spierdalałam – powiedział Kris. – Ja mu nic w sumie nie zrobiłem, nie mam zamiaru potem za to siedzieć.

– Dobra, wystarczy – odparł jeden z tych dwóch, których imion Adam nie znał. – A jak, kurwa, komuś powiesz, to dokończymy – kopnął go jeszcze raz, na pożegnanie. – Ciota – powiedział jeszcze, jakby chciał tym słowem podsumować całe zajście.

Adam przekręcił się lekko na tyle, na ile to było możliwe, i patrzył, jak odchodzą, śmiejąc się głośno i żartując, w konfetti wciąż padającego śniegu.

Magda pomyślała, że nie powinna była mówić Dominikowi, że nie może zostać dłużej.

– Nie masz dla mnie czasu? Znowu nie masz dla mnie czasu?! – wrzasnął. – Nauka jest ważniejsza, ważniejsza ode mnie? A co ty, kurwa, uczoną jakąś chcesz zostać?!

– Mam test z biologii, z całego semestru – odparła, próbując zachować spokój.

– Z biologii. Ja ci zaraz pokażę biologię w praktyce. Rozbieraj się.

– Dominik, daj spokój, nie dzisiaj. Mam okres.

Skłamała. Co prawda spodziewała się, że może dostać miesięczkę dziś lub jutro, ale jeszcze nic się nie działo.

– Okres? – zadrwił. – To świetnie. Nie trzeba będzie uważać.

Nerwowo zachichotała. *To jakiś żart?* Przecież mu mówi, że nie dzisiaj, po co ją namawia?

– Muszę iść – wstała z sofy. I znów pomyślała, że powinna to po prostu zakończyć. Nie, nie powie mu tego, bała się. Najlepiej mu napisze.

– A ty co, królowna? Co, ty myślisz, że jesteś świętsza od papieża? Jak ty czegoś potrzebowałaś, to zawsze byłem dla ciebie, wszystko robiłem dla ciebie, a ty dla mnie nic nie możesz zrobić, tak?

– Dominik...

Patrzyła na jego brodę, prosty nos, zielone oczy. Przecież on nie jest zły, nie może być zły.

– Chodź tu do mnie, no chodź.

Postusznie podeszła. Chyba jednak zrozumiał, że ona musi iść. Pogłaskał ją po włosach. A potem wsadził rękę pod bluzkę.

– Dominik, nie.

– Nie? Co to znaczy nie? Kiedyś od razu rozkładałaś nogi! Za forszę mi dawałaś, jak ci pomagałem, to mi dawałaś, a teraz co?

Dlaczego on do niej tak nieładnie mówi? Nigdy nie robiła tego za forszę. Mała, zabłąkana łza spłynęła jej po twarzy.

– Muszę iść – powtórzyła, a wtedy on z całej siły ścisnął ją za ramiona. Poczula to nawet przez materiał bluzki.

– Nigdzie nie pójdziesz. Rozbieraj się.

– Zwariowałaś – wyrwało jej się, a wtedy uderzył ją w twarz. Lekko się zachwiała, ale odzyskała równowagę. Policzek palił jak ogień. To stało się zbyt szybko, żeby wiedziała, jak ma zareagować.

– Głucha jesteś?

Czekał. A kiedy nadal stała nieruchomo, podszedł do niej i po prostu pchnął ją na łóżko, na brzuch.

– Nie! – powiedziała, tylko raz. Ale nie słuchał.

Przycisnął ją do materaca, nawet nie rozebrał, podciągnął tylko spódnicę, mocno trzymając drugą ręką, żeby mu się nie wyrwała.

Wiedziała, że nie ma z nim szans. Leżała posłusznie, myśląc, że kiedyś to się skończy. Może rzeczywiście powinna po prostu z nim iść do łóżka, przecież wiedziała, że on tego potrzebuje.

– Masz okres? To ciekawe – powiedział. – Skłamałaś, żeby ze mną nie być!

I już się w nią wdarł. Zabolało.

Potem już nawet nie krzyczała, czuła tylko, jak łzy wypływają jej z oczu i wsiąkają w poduszkę.

Przez chwilę widziała się z boku, jak leży z brzuchem wciśniętym w pościel, a on to robi. Ale nawet kiedy skończył, kiedy cała była jednym wielkim bólem i upokorzeniem, nawet wtedy nie pomyślała, że to gwałt.

Po wszystkim wstał, ubrał się. Ona usiadła, poczuła, jak kręci jej się w głowie.

Już zdążyło się ściemnić: patrzyła na białe płatki śniegu, które wirowały w świetle latarni. Jakby tańczyły – pomyślała i ta myśl na chwilę odsunęła ją od tych innych.

Dominik się uśmiechał. Jakby stało się coś dobrego, a nie najgorszego na świecie.

Wtedy. To mogło się zdarzyć jednego dnia. Bo każde z nich, bombardowane obrazami w głowie, jakby kadrami z filmu wyświetlanego raz po raz, widzieć będzie w tle padający śnieg. A przecież śniegu w tym roku było jak na lekarstwo. Padał zaledwie kilka razy, i w małej miejscowości, w której mieszkał Adam, i w Warszawie, gdzie wychowywała się Magda.

Śnieg każdemu dobrze się kojarzył: z lepieniem bałwana, świętami Bożego Narodzenia, niewinnością, która należała już tylko do dzieciństwa. Kiedy białe płatki nagle pojawiały się na niebie, wszyscy przechodnie wpatrywali się w nie z radością. Tak zadzierali głowy, że aż bolały ich szyje. I może to przez ten wzrok wbity w niebo nic nie widzieli i nic nie słyszeli. Ani krzyków Adama, ani błagalnych słów Magdy, ani gwałtownych ruchów za firanką, ani kąpiących na ulicy butów. Śnieg wszystko przykrywał i wyciszał.

Wielki oszust, ten śnieg.

To mogło zdarzyć się jednego dnia. Może gdyby opowiedzieli sobie o tym, porównali daty, to by im jakoś pomogło. Pomyśleliby, że są takie dni, kiedy coś złego wisi w powietrzu. Że może to różnica ciśnień lub atmosferycznych frontów, jakieś perfidne ułożenie chmur czy gwiazd popycha ludzi do czynów, do których inaczej nie byliby zdolni. Że może to ten śnieg?

To mogło zdarzyć się jednego dnia. Ten dzień oboje nazywali przecież *wtedy*. I oboje nie opowiadali o *nim* nikomu. Można było tylko o *nim* myśleć. Ani rodzice, ani jedyna przyjaciółka Magdy o tym *wtedy* nie wiedzieli. Sama Magda próbowała to oswoić i zinterpretować inaczej. Bo przecież nic nie jest po prostu takie jak jest: to my nadajemy rzeczom i sytuacjom nazwy i znaczenia. Włożyła więc Magda to *wtedy* do kalendarza, jakby jakąś ulotkę o wydarzeniu, w którym właściwie nie brała udziału. Albo takim, które w międzyczasie zamieniło się w coś innego. Nie 'wielki koncert', tylko 'mały recital'. Nie 'poważna choroba', tylko 'pacjent lekko niedomaga'. Nie 'kłótnia', tylko 'nieporozumienie'.

Nie 'gwałt', tylko 'ta nieprzyjemna sytuacja'.

O *wtedy* Adama jego rodzina dobrze wiedziała. Ale nawet oni nie zdawali sobie sprawy ze wszystkiego. Znali tylko powierzchnię wydarzeń. Procent uszkodzenia ciała i plan rekonwalescencji.

Są rzeczy, o których się nie mówi nikomu – myślał Adam.

Są rzeczy, o których się nie mówi nikomu – myślała Magda.

Dlatego kiedy będą siedzieć naprzeciwko siebie i patrzeć sobie w oczy, czasem pomyślą: *Nie wiesz o mnie wszystkiego.*